

Udając się na Zamek i przechodząc Krakowskim Przedmieściem, doznałem dziwnego uczucia. Co ja tu robię jako „obcokrajowiec”, przecież ja znam te ulice lepiej od miasta, w którym teraz mieszkam w Stanach Zjednoczonych.

Publicystyka w Polsce

W 1997 r. mój dobry kolega Andrzej Bober został redaktorem naczelnym dziennika „Życie Warszawy” i momentalnie zaprosił mnie do pisania cotygodniowych felietonów. Nazwałem je „Obserwacje z USA” i w ciągu roku 1997-98 opublikowałem ich ok. kilkudziesięciu, których tu wszystkich nie sposób omówić. W myśl mojej misji, transferowałem w felietonach wiedzę o demokracji i kapitalizmie do transformującej się Polski oraz popularyzowałem wiedzę historyczną mojego pokolenia, a także pisałem na temat bieżących spraw polskich z tutejszej perspektywy.

Najbardziej cenię sobie felieton na temat „Warszawa naszych marzeń”⁶⁵, w którym pisałem, co następuje: „Ostatnim prezydentem miasta, który miał wizję stolicy był Stefan Starzyński, pełniący tę funkcję przed wojną. Stan wyjściowy stolicy jest bardzo niekorzystny. Miastu brakuje dwóch mostów, oczyszczalni ścieków, nowych ujęć wody i filtrów, a także skończenia chociaż jednej linii metra. Ponadto miasto rozwija się od plomby do plomby i staje się coraz bardziej zatłoczone. Arch. Januszowi Targowskiemu widzi się Warszawa jako nie miasto amerykańskie z centrum i podmiejskimi osiedlami, ale jako miasto skandynawskie bez chaotycznego ruchu samochodowego, z zielenią w centrum, z metrem obejmującym swym zasięgiem skupiska miejskie i z obwodnicą kanalizującą ruch tranzytowy. Ponadto plan Architekta preferuje rozwój linearny w kierunku północnym aż po Modlin. W tym miasteczku wojskowe lotnisko powinno zostać przekształcone na lotnisko międzynarodowe. Modlin z Warszawą powinien zostać połączony szybką koleją typu japońskiego *Narita Express*, czy francuskiego *TGV*”.

Pisałem wtedy, że przede wszystkim trzeba ustalić siłę motoryczną miasta, którą moim zdaniem powinna być Warszawa nie tylko jako stolica kraju, ale całej Centralno-Wschodniej Europy, czyli powinna być podwójną stolicą (SS). W związku z tym należy liczyć się na zwiększone zapotrzebowanie na usługi: administracyjne, bankowe, konsultacyjne, konferencyjne, hotelowe, restauracyjne, handlowe, wycieczkowe, rozrywkowe, itp. Gdzie je ulokować?

Może faktycznie linia Północ-Południe powinna przejąć główny ciężar usług na rzecz wschodnich sąsiadów. Od północnego wschodu, goście kierowaliby się przez Białystok i Wyszaków na Modlin-Warszawę. Ze wschodu i południowego wschodu przybysze jechaliby poprzez Lublin, Puławy do Warszawy w okolice Piaseczna, gdzie zaczynałaby się linia PP do Modlina, oczywiście po obwodnicy

⁶⁵ Mieszkając w USA nie mam wycinków tych felietonów, omawiany tekst ukazał się w połowie lutego 1998 r.

albo metrem. Centrum B (biznesu) powinno być jednak usytuowane koło lotniska. Gdyby pozostać przy jednym lotnisku na Okęciu, wtedy Centrum B może być usytuowane w ciągu Piaseczno-Magdalena-Okęcie. Są tam wciąż atrakcyjne tereny. Gdyby zwyciężył „Modlin”, wtedy Centrum B może być usytuowane w okolicy Białan-Białoleki.

Żeby Warszawa jako podwójna stolica była atrakcyjna dla gości, zwłaszcza zagranicznych, musi oferować atrakcyjny program rozrywkowy. Centrum R w wielu miastach Zachodu, a zwłaszcza amerykańskich, jest lokowane w śródmieściu, więc, aż prosi się, aby Centrum R z zapleczem hotelowym ulokować wokół Pałacu Kultury i Nauki („na przyszłość”). W ten sposób warszawskie śródmieście po godzinach pracy wciąż tętniłoby życiem i nie wyglądało jak obecnie na wymarłe. Administrację Polski, czyli Centrum A warto uzupełnić metodą plombową w śródmieściu, ale w wieżowcach.

Tak zmodyfikowana wizja Warszawy będzie miała trzy Centra A, B, i R, które rozwijać według strategii SS-PP, czyli podwójnej stolicy rozlokowanej na linii północ-południe. Natomiast w osiedlach między nimi, tam gdzie to jest możliwe, wypadałoby stosować skandynawski habitat pełen zieleni, ścieżek rowerowych i kortów.

Jak zrealizować przedstawioną wizję? Oczywiście, najpierw trzeba uzyskać aprobatę mieszkańców (plebiscyt) i zobowiązać władze miasta do jej realizacji. Potem należy rozwijać drogi, a wokół nich usługi. Trzy województwa; warszawskie, białostockie i lubelskie muszą porozumieć się, co do budowy dopływowych autostrad we wskazanych kierunkach. Jeżeli będą odpłatne (wpływy dla województw), wtedy znajdą się inwestorzy zagraniczni, którzy przy okazji wybudują motele, bary szybkiej obsługi. W ślad za tym pójdzie dalsza, oddolna rozbudowa tak biznesów, jak i osiedli, wzniesiona siłami drobnych, lokalnych inwestorów.

Niestety nie wywiązała się dyskusja po moim felietonie, a władze miasta nabrały wody w usta, kłócąc się w międzyczasie o podział foteli w radzie Miejskiej według dla nikogo niezrozumiałego regulaminu. Wizja ta czeka wciąż na dyskusję, mam nadzieję, że kiedy prezydent Paweł Piskorski przetrwa kolejną reorganizację władz miasta, to powróci do dyskusji nad tą wizją.

Jako Warszawiak i ofiara Powstania Warszawskiego napisałem ważny dla mnie felieton w 54. rocznicę wybuchu Powstania, pt. „Powstanie 1944 na chłodno (2)”. Pisałem wówczas, że w amerykańskim sądownictwie ofiara sprawy może zabrać głos w procesie. Korzystam z tej procedury, aby w imieniu ofiar Powstania zabrać głos w sprawie jego zasadności. Najważniejsze błędy, jakie popełniono w związku z decyzją o wybuchu powstania akcji są moim zdaniem następujące.

Błąd nr 1: „geopolityczny”. Błąd, a może nierozwiązalny problem geopolityczny? Czy byliśmy w stanie, znając rzeczywiste nastawienie Stalina wobec Polski, próbować określonymi ustępstwami uratować rzecz zasadniczą — niepodległość? Być może zgoda, obwarowana określonymi warunkami na ustępstwa

graniczne, dokonana odpowiednio wcześniej, mogłaby ułatwić Churchillowi jego grę ze Stalinem w obronie suwerenności Polski. Plan Stalina został wdrożony w praktyce, o czym zawsze alianci-realiści uprzedzali Polaków.

Błąd nr 2: „sojuszniczy”. Churchill, Eden i Hull (amerykański sekretarz stanu) zawsze przestrzegali Polaków, aby nie zaczynali żadnych działań bez uzgodnienia z Sowietami. W 1943 r. USA, W. Brytania i ZSRR zawarły tajne porozumienie, że na zachód od rzeki Łaby za działania wojenne będzie odpowiedzialne USA, W. Brytania i Francja, a na wschód od tej rzeki — ZSRR. Zachodni sojusznicy nie poinformowali o tym Polaków, a powinni. Pomimo tego Polacy powinni się takiego porozumienia domyślać, a nie ustawicznie twierdzić, że są mądrzejsi i że lepiej znają Rosję, w związku z tym Zachód powinien ich słuchać. Podczas, gdy Zachód musiał respektować wolę Stalina, którego Armia Czerwona w pojedynkę walczyła w Europie z Niemcami, ponosząc olbrzymie straty, do czasu inwazji Zachodu we Francji w czerwcu 1944 r.

Błąd nr 3: „polityczny”. Premier St. Mikołajczyk popierając decyzję delegata Rządu w Kraju, co do wybuchu Powstania (depesza z dnia 25 lipca) liczył, że fakt wybuchu Powstania wzmocni jego stanowisko w rozmowie ze Stalinem w sierpniu. Źle zaplanowany wybuch Powstania osłabił pozycję polskiego premiera w Moskwie. Błędna decyzja gen. „Bora” przekreśliła nadzieje na porozumienie z Sowietami.

Błąd polityczny nr 4. „wojskowo-dowódczy”. Wódz Naczelny gen. Kazimierz Sosnkowski, zamiast memoriałów „odradzających” Powstanie, powinien wydać rozkaz zabraniający Powstania. (Po wojnie gen. „Bór” Tadeusz Komorowski stwierdził, że taki rozkaz musiałby wykonać). Tuż przed wybuchem Powstania, Wódz Naczelny opuszcza stanowisko dowodzenia w Londynie i udaje się do Włoch na spotkanie z gen. Wł. Andersem.

Błąd nr 5: „wojskowo-motywacyjny”. Odsunięcie od strategii walki podziemnej wybitnych sztabowców, gen. St. Tatara i płk. J. Bokszezanina i zastąpienie ich świeżo przybyłym gen. L. Okulickim, który niósł ze sobą atmosferę przynębienia, istniejącą w II Korpusie gen. Andersa, po konferencji w Teheranie. Gen. „Niedźwiadek” pragnął zrealizować swą misję nie zważając na straty i w konsekwencji być może wstrząsnąć sumieniem świata.

Błąd nr 5: „wojskowo-operacyjny”. Decyzja wybuchu Powstania w dniu 1 sierpnia została podjęta (w dniu 31 lipca o godzinie 16:30 w lokalu przy ul. Siennej 67) na podstawie złej oceny sytuacji na froncie. Płk. „Monter” poinformował, że „czołgi sowieckie są pod Pragę”, ale nie wiedział, że był to tylko rozpędzony zwiad i że rozpoczynała się kontrofensywa niemiecka, której sukces zapewnił w praktyce sam Stalin. Nie wzięto pod uwagę faktu, że Niemcy mogą zmiażdżyć Stolicę i jej Powstańców, zaś Sowiety przez 1,5 miesiąca nie udzielą żadnej pomocy Powstaniu. W tym stanie rzeczy decyzja o rozpoczęciu walki i jej termin wybrane zostały błędnie.

Błąd nr 7: „samooceny”. Społeczeństwo, a szczególnie organizacje podziemne przez całą wojnę wyobrażało sobie, że rząd polski ma duże znaczenie wśród so-

juszników. Natomiast rząd polski uważał, że to podziemie jest tak potężne, że ma ono jakieś znaczenie w koalicji antyhitlerowskiej. W praktyce tak nie było. Wojnę wygrały tysiące okrętów, dziesiątki tysięcy bombowców i czołgów.

Błąd nr 8: „tradycji powstańczej”. Powstanie Warszawskie stanowiło w znacznej mierze owoc nieszczęsnej tradycji powstańczej, którą kultywowano w XX w.

Celem moim nie było deprecjonowanie ogromnego wysiłku, poświęcenia, odwagi i bohaterstwa Powstańców na każdym szczeblu dowodzenia i pozycji walki. Wciąż zdaję sobie sprawę z rozterek i ogromu trudności, jakie stały przed dowództwem Powstania, władzami Polski Podziemnej i Naczelnymi Władzami RP. A mimo tego, Powstanie jest jedną z największych klęsk Polski. Nie wydaje mi się, że wybrano najlepsze rozwiązanie w interesie obywateli i stolicy, a także i Kraju.

Moje felietony w „Życiu Warszawy” nie podobały się Andrzejowi Boberowi, jak mi powiedzieli inni, chyba nie podobały się jego „rózowemu” mocodawcy. W związku z tym przestałem je tam publikować. Andrzej niestety przestał być redaktorem naczelnym w rok potem, czyli w 1999 r.

W 60. rocznicę polskiej, sromotnej porażki w 1939 r. opublikowałem felieton m.in. w „Polsce Zbrojnej” i jak zwykle w „Nowym Kurierze” (Kanada) i „Gwieździe Porannej (USA)” — pt. „Dlaczego przegraliśmy 60 lat temu. Pisałem wówczas, co następuje: „Gdyby nie poniższe błędy mogliśmy uniknąć porażki w 1939 r. Żeby ich drugi raz nie popełnić przeanalizujemy je raz jeszcze na zimno i bez zwalania jak zwykle naszej winy na innych.

Pierwszą przyczyną porażki było przeoczenie możliwości wspólnej interwencji Francji i Polski po wkroczeniu Niemiec do Nadrenii w 1936 r. wbrew Traktatowi Wersalskiemu. Niemcy byli wówczas za słabi, aby wygrać z Francją i Polską.

Drugą przyczyną porażki były złe stosunki między Polską a Czechosłowacją. Niezawarty sojusz obu państw dysponował w 1938 r. 80 sprawnymi dywizjami podczas, gdy Hitler blefował, bowiem z jego 80 dywizji tylko 27 było sprawnych, reszta to były dywizje szkieletowe. W takiej sytuacji Hitler nie zająłby Czechosłowacji i nie oskrzydlił Polski od południa. Haniebny z Niemcami rozbiór południowego sąsiada odwrócił od Polski wiele państw.

Trzecią przyczyną porażki było zdradzenie Polski przez Francję. Zgodnie z umową wojskową z maja 1939 r. Francja po zaatakowaniu Polski przez Niemcy, miała „natychmiast przystąpić do działań lotniczych, a w trzecim tygodniu miała przystąpić do ofensywy”. Niespełnienie tych warunków było zdradą polskiego sojusznika. Francja nie tylko nie uratowała Polski, ale sama została pokonana. Francja miała okazję zwyciężenia Niemców, jaka trafia się raz na kilkaset lat. W 1939 r. Francja z Anglią miały 4-krotną przewagę nad Niemcami, które mogły bronić się przez 3-4 dni. Oba państwa dysponowały 110 dywizjami, podczas gdy Niemcy na Zachodzie mieli tylko 28 dywizji.

Francja i Anglia po cichu chciały, by Niemcy zaatakowały Polskę i poszły na Wschód, a nie na Zachód. Dlatego 12 września 1939 r. w Abbeville miało moim

zdaniem miejsce „Drugie Monachium”, kiedy premierzy Chamberlain i Daladier (ci sami z „Pierwszego Monachium”) podjęli decyzję obrony na linii Maginota na Renie. Pomysł ten podsunął gen. Maurice Gremlin, Naczelny Wódz Francji, który jak sam przyznał po wojnie, „nie traktował poważnie umowy polsko-francuskiej”. Czyżby Generał miał jakąś zadrę przeciw Polsce za „przegapienie” Nadrenii?

Czwartą przyczyną porażki było zaniechanie modernizacji Wojska Polskiego w latach 30. W latach 1933-39 Niemcy wydawały na zbrojenia 20 proc. dochodu narodowego, podczas gdy Polska wydawała tylko 5 proc. Zwiększenie wydatków o 20 proc. czy to poprzez pożyczkę wewnętrzną czy zagraniczną zmieniłoby stosunek sił. W Polsce dobrze wiadano, że czeka nas wojna, mimo tego Wojsko Polskie przystąpiło do wojny nieprzygotowane pod względem technicznym i sztabowym. Po uderze mózgu marszałka Józefa Piłsudskiego w 1928 r. sprawy wojskowe źle się potoczyły. Zdaniem gen. Tadeusza Kutrzeby „wojsko stało się archaiczne”. Ponadto politycy opozycji byli prześladowani albo na emigracji jak Witos i Korfanty, albo jak wybitni generałowie Rozwadowski, Sosnkowski, Sikorski, Zagórski, Rybak byli w odstawce.

Piątą przyczyną porażki było fatalne dowodzenie i brak dobrego planu obrony. Plan Rydza Śmigłego przewidywał obronę na odcinku 1,700 km i przyjęcie walki na pozycji głównej na zachodnich terenach. Plan ten nie był nawet sformułowany pisemnie. Pierwsze najsilniejsze uderzenie niemieckie przerwało front i odsłoniło nie obroniony, cały obszar Polski. Nie było planu na drugą fazę obrony, po przerwaniu jej na ziemiach zachodnich.

Nie omówiłem tu opcji zerowej, czyli niebronienia kraju w ogóle, jak to uczyniły wszystkie państwa Europy z wyjątkiem Jugosławii i ZSRR. Partyzanci Tito przede wszystkim walczyli z Królem o przyszłą władzę w Jugosławii, ponadto chcieli przejąć pomoc z Anglii, która jak dotąd szła dla armii królewskiej. Bili się z Niemcami bardzo dzielnie i tym samym przekonali Anglików, którym zależało na związaniu sił niemieckich na południu i opóźnieniu ataku na ZSRR. W ten sposób Anglicy zyskiwali na czasie i nie dopuścili do szybkiego sukcesu Hitlera, którego później byłoby jeszcze trudniej pokonać.

Jak długo w XXI w. Rosja będzie krajem o ambicjach imperialnych, pacyfizm będzie największym wrogiem pokoju. Wobec zagrożenia Rosji trzeba wciąż stosować rzymską zasadę *si vis pacem para bellum*, czyli „chcesz pokoju gotuj się do wojny”.

W „Nowym Kurierze” ukazał się krytyczny list czytelnika, który zarzucił mi „samobiczowanie się”. Odpisałem mu na tych samych łamach, co następuje.

„List czytelnika w sprawie mojego felietonu nt. porażki Polski w 1939 r. nie jest jedynym odzewem w tej sprawie. Na łamach *Gazety Detroit* była prowadzona w sprawie mojego felietonu w *Nowym Kurierze* dyskusja, w której wyjaśniono ważniejsze sprawy dot. naszej porażki 60 lat temu.

Prof. Izydor Modelski wyjaśnia w *Gazecie Detroit*kiej (22-28 października 1999 r.) i przytacza opinię Stanisława Babińskiego, autora książki „Kazimierz

Sosnkowski — myśl — praca — walka”, (Londyn: Veritas 1988): „Jeżeli chodzi o Niemców i zajęcie Nadrenii, strona francuska wysunęła konkretne propozycje; przywiózł je do Polski gen. Kazimierz Sosnkowski, przekazał ministrowi Józefowi Beckowi z prośbą o szybką reakcję, czyli upewnienie Francji, że gotowi jesteśmy przyłączyć się do akcji przeciw Niemcom. Natychmiast po powrocie do Warszawy Sosnkowski odbywa 3 lutego 1936 r. rozmowę z Beckiem, w której przedstawia przebieg rokowań z Francuzami i żąda wysłania, bezwzględnie, do rządu francuskiego noty, potwierdzającej zajęte przez niego w Paryżu stanowisko. Beck odpowiada na to zacierając ręce: „A to się doskonale składa panie generale, teraz ja się z nimi pobawię (...)”. Beck zobowiązuje się wykonać żądanie Sosnkowskiego. Ten ostatni przekonany, że słowo nie tylko ministra, ale i oficera polskiego jest dostateczną gwarancją, nie przypuszcza nawet, że Beck może nie dotrzymać danego słowa (...). Należy tu podkreślić, że w koncepcji Sosnkowskiego, przyjętej przez Francuzów w Paryżu, była gotowość do wspólnej mobilizacji w momencie ujawnienia zamiaru Hitlera wprowadzenia wojsk do Nadrenii. Był on wówczas przekonany, że Beck zrozumiał grozę sytuacji i wysłał natychmiast, na kilka tygodni przed wkroczeniem Niemców do Nadrenii, zobowiązania rządu polskiego wspólnej z Francją mobilizacji sił zbrojnych. Był zdziwiony i rozczarowany, że Francuzi nie skorzystali z polskiej oferty. Dopiero kilkanaście lat po wojnie zorientował się, że Beck tej noty w żądanym czasie nie wysłał”.

W „Dariuszu i Tekach”, pod datą 4 lutego 1936 r. Szembek pisze: „Zdaniem Becka nasz alians z Francją nie zobowiązuje nas do żadnych kroków (...), i że naruszenie zdemilitaryzowanej strefy w Nadrenii nie stwarza dla nas w świetle polsko-francuskiego aliansu tzw. *casus foederis* (...). Francuzi nie otrzymawszy wsparcia sojuszniczej Polski i pod naciskiem brytyjskim, nie decydują się na jednostronne ogłoszenie mobilizacji. W nocy 6 na 7 marca Niemcy bezkarnie wkraczają do Nadrenii. Beck podkreśla często, że nasz sojusz z Francją ma charakter ściśle defensywny. Innymi słowy, pogwałcenie przez Niemców Traktatu Wersalskiego, zdaniem Becka, nie zobowiązuje Polski do żadnych kroków u boku Francji. Jeśli Francja będzie chciała siłą usunąć Niemców z tego terytorium, to na Polskę nie może liczyć”. „Było to, na pewno, na rękę Niemcom, Ambasador niemiecki w Polsce pochwalił min. Becka za zajęte stanowisko”.

Odnosnie braku sojuszu z Czechosłowacją w 1938 r. to ponownie oddaje głos S. Babińskiemu: „Na kilka miesięcy przed akcją „Zaolzie”, odwiedzając moich rodziców w naszym domu pod Warszawą, zastałem tam w gościnie redaktora, senatora Jana Remblińskiego, który z wielkim bólem i żalem opowiadał nam o swej nieudanej misji dyplomatycznej. Red. Rembliński wyznawał tezę, że Polska wtedy tylko była w stanie odparć skutecznie jakiekolwiek zakusy sąsiadów ze wschodu czy zachodu, gdy utrzymywała mocne więzy przyjaźni i sojuszków z sąsiadami na północy i południu. Dlatego podjął się, na prośbę Ks. Kardynała Hłonda, misji przeprowadzenia rozmów z prezydentem Czechosłowacji Beneszem, któremu przedstawił swą tezę. Otrzymał odręczny list od Benesza do pre-

zydenta Mościckiego z propozycją zacieśnienia więzów współpracy i jakiegoś sojuszu w obawie przed agresją niemiecką. Prezydent Mościcki nie wykazał żadnego zainteresowania tą propozycją i odrzucił ją". Szembek pisze w swoich wspomnieniach także, że Francuzi sugerowali Polsce zajęcie stanowiska wobec spodziewanego zajęcia Czechosłowacji w 1938 r., ale Beck odpowiedział im, że to nie ich sprawa, bowiem nie mieści się w zasadach polsko-francuskiego sojuszu. Nie posłuchaliśmy dobrej rady Francuzów, bowiem „nie mieściła się w sojuszu”.

Teofil Modelski (brat Izydora, obaj bratankowie znanego generała I. Modelskiego) pisze na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego:” „W tak niezwykle trudnej sytuacji geopolitycznej jedyną słuszną koncepcją byłoby zawarcie sojuszu wojskowego z Czechosłowacją. (...). Czesi oddali Niemcom 1600 samolotów, 470 czołgów, 2700 dział i 3 miliony pocisków artyleryjskich, a więc więcej uzbrojenia niż posiadała Polska. Wkrótce tę broń Niemcy wykorzystali w kampanii wrześniowej w Polsce”.

W stosunkach z Francją i Czechosłowacją odegrały decydującą rolę uprzedzenia min. Becka do Francji i marszałka J. Piłsudskiego w stosunku do Czechosłowacji. Warto tu przypomnieć, że na początku lat 20. płk. J. Beck był attache wojskowym w polskiej ambasadzie w Paryżu. Wkrótce został poproszony przez Francuzów o opuszczenie placówki, ponieważ Francuzi podejrzewali go, że jest niemieckim szpiegiem. Odtąd min. Beck nie lubił Francuzów. Natomiast Marszałek miał lekceważący stosunek do południowych sąsiadów, nazywał ich pogardliwie „pepiczkami”. Oczywiście jest, że istniało wiele konfliktów między Polską i Czechosłowacją, m.in. popieraliśmy Węgrów w ich roszczeniach do Słowacji, co nie podobało się Czechom. Oczywiście jest także, że Czesi zrobili, z naszego punktu widzenia, wiele błędów w sporze o granice, a także jak wspomina Czytelnik nie byli lojalni wobec Polaków w walkach z bolszewikami. To wszystko prawda. Ale wobec śmiertelnego zagrożenia ze strony Niemiec, wszystkie te spory z sąsiadem błędne. Tak się składa, że w 1939 r. Polska miała złe stosunki ze wszystkimi sąsiadami i zawsze znajdą się tacy Rodacy, którzy „udowodnią”, że w każdym przypadku rację mieli Polacy. Dlatego przegraliśmy i byliśmy osamotnieni w 1939 r. Za tę krótkowzroczną politykę zapłaciliśmy śmiercią 6 milionów obywateli, kalectwem dalszych kilku milionów i zniszczeniem majątku narodowego w 60 proc. włącznie ze stolicą. Z wyjątkiem tych strat „polityka była w porządku”.

Na uwagi czytelnika, co do niemożliwości zwiększenia środków na uzbrojenie w latach 30. można odpowiedzieć, że zamiast zbierania rowerów wśród działaczy szkolnej na rzecz wojska, trzeba było rozpiścić pożyczkę w społeczeństwie, albo zaciągnąć pożyczkę zagranicą. Produkcja wojskowa jest bardzo opłacalna i korzystna dla gospodarki. Dzięki tej właśnie polityce, Hitler odbudował zrujnowane Niemcy.

Sprawa złego dowództwa w kampanii wrześniowej została już wielokrotnie przeanalizowana i opublikowana. Warto przypomnieć, że podobną ocenę miał

sam gen. W. Sikorski, który wyższych oficerów (z wyjątkiem tych najdzielniejszych, jak np. gen. S. Maczek) z kampanii wrześniowej skoszarował we Francji w obozie w mieście Cerizey, a potem na Wyspie Węzów w Szkocji, gdzie nawet mieli zmniejszone gáže do połowy, w ten sposób odsuwając ich od bieżących zadań Wojska Polskiego na Zachodzie.

Każde pokolenie podaje swoją interpretację historii. Rodacy, którzy przeżyli 1939 r. mają swoją ocenę historii. Moje pokolenie ma inną interpretację historii. Najwyraźniej są one różne, ale dzięki tej różnicy i dyskusji jest postęp w edukacji i polityce, i oby w rosnącej mądrości naszego narodu. Z tego względu jestem wdzięczny Czytelnikowi, że broni „swej” historii, nawet jeśli nie wynika ona ze znajomości wielu faktów, jak te, które przytoczyłem powyżej.”

We wrześniu 1999 r. przypadła 10. rocznica upadku PRL, w związku z tym napisałem w „Rzeczpospolitej”⁶⁶ (i pozostałych „moich” gazetach) wspomnienie. Pt. „W 10-lecie mamuciej śmierci”. Pisałem wtedy, co następuje.

W 1972 r. nastąpiło odprężenie w stosunkach Wschód — Zachód. Gierek zaczął objeżdżać kolejne stolice Zachodniej Europy, w tym nawet Watykan, szukając pożyczek, obiecanych przez Nixona i Kissingera w Warszawie. Gierek najpierw jeździł z Katowic do Warszawy po pieniądze, a teraz zaczął jeździć z Warszawy na Zachód po to samo.

W jego składzie delegacji zawsze znajdował się Tadeusz Wrzaszczyk, który w międzyczasie awansował na stanowisko przewodniczącego Komisji Planowania i wicepremiera, a wkrótce nawet na członka Biura Politycznego. Wrzaszczyk jako minister Przemysłu Maszynowego, uruchomił z powodzeniem licencje na produkcję fiatów w Polsce, teraz już jako wicepremier zaczął kontraktować dalsze 500 licencji i pożyczki na nie. W sumie zadłużył nas na 30 miliardów dol.

Zadłużenie Polski na 30 miliardów było i pewnie jest nadal mocno krytykowane. Jednak uważam, że było bardzo korzystne dla Polski i to z dwóch powodów. Po pierwsze w 1972 r. nie było innej alternatywy dla nas, jak zmodernizować polską technikę i gospodarkę przy pomocy zastrzyku zachodniej techniki. Po drugie, tak silny zastrzyk nowoczesności zabił pacjenta, czyli PRL i po 17 letnim konaniu doprowadził do narodzin III RP w 1989 r. Polityka Gierka i Wrzaszczyka była polską formą „*pierestrojki*”, którą potem zastosował w latach 80. sam Gorbaczow, dzięki której ZSRR rozpadł się Oczywiście Gierek i Wrzaszczyk jak i Gorbaczow nie wiedzieli co robią, bowiem inaczej by samobójczej polityki nie zastosowali. Śmiem twierdzić, że Gierek, uwarunkowany ścisłą współpracą z Zachodem, w praktyce stosował i „*glasnost*”. Przecież tolerował powstanie i działalność ROPCiO i KORu, które jednym skinieniem palca mógł zdławić, a nie zdławił. Może teraz żałuje, choć nie powinien, bowiem dzięki temu pośrednio przyczynił się do powstania „*Solidarności*”.

Z punktu widzenia teorii organizacji i zarządzania i interesów PRL Wrzaszczyk pokierował źle procesem zmodernizowania polskiej gospodarki, ponieważ skon-

⁶⁶ Rzeczpospolita, 9 września 1999 r.

centrował najważniejsze decyzje, wówczas 10. gospodarki świata, w swoich rękach. Miał najlepsze chęci, ale sam w pojedynkę był bez szans. Praktyka wykazała, że nie słuchano centralnego planisty, „socjalistyczni menadżerowie” ubijali raczej własne niż polskie interesy w kontraktach z zachodnimi firmami, nabierając apetytu na jazdy mercedesami, bmw, czy lanciami. Rozpoczął się ruch wyjazdów na Zachód i budowy „dacz”. Mówiono wówczas, że „Bez daczy nic nie znaczyś”. Z punktu widzenia ówczesnych interesów PRL, polityka Gierka i Wrzaszczyka miałyby szansę na sukces, gdyby zaczęto prywatyzować gospodarkę i wprowadzić nawet niedemokratyczną gospodarkę rynkową, w ramach Dyktatury Partii. Nie jest to puste teoretyzowanie, bowiem taką politykę stosował Tito w Jugosławii, a obecnie stosują Chiny pod koniec XX w., które jednak dopiero po 1991 r. nauczyły się wiele po upadku ZSRR i chaosie w Rosji.

W latach 70. jednak nie było klimatu na tak drastyczne rozwiązanie. W PRL nie było najmniejszych śladów głoszenia tego typu rozwiązań. Specjaliści z opozycyjnego grona prof. Edwarda Lipińskiego krytykowali tylko poszczególne wskaźniki gospodarki.

Z perspektywy prawie 30 lat można powiedzieć, że nie należy krytykować Gierka i Wrzaszczyka, że ich polityka nie udała się. Gdyby udała się, to może marazm PRL trwałby do dzisiaj, a tak dzięki niej gospodarce centralnie planowanej została podana śmiertelna dawka lekarstwa, którego nie przeżyła. Polskę kosztowało to 30 miliardów dol., ale uzyskany efekt jest tego wart. Bez zapłacenia owej ceny nie byłoby jeszcze III RP.

Cena ta przypomina mi dyskusje o koszcie przystąpienia Polski do NATO, który ma „nie opłacać się”. Śmiem twierdzić, że po 350 latach upadku Polski, nie ma takiej ceny, jakiej by nie było warto zapłacić, aby ponownie znaleźć się na Zachodzie i pod jego obronnym parasolem.

Niepodległość Polski w 1989 r. nie spadła ot tak z nieba, bowiem proces wyzwolenia się Polski spod objęć Moskwy rozpoczął się właśnie w 1972 r. Śmierć PRL nastąpiła w wyniku „mamuciej choroby”, polegającej na takim rozroście organizmu gospodarczego, że jej mózg nie był w stanie kontrolować całości. Lekarstwem na to jest gospodarka rynkowa III RP.

Na jesieni 1999 r. rozpoczął się kryzys koalicji AWS wynikający z jej słabych rządów. W tych samych dziennikach, w tym w „Rzeczpospolitej”⁶⁷ opublikowałem felieton pt. „Kim są Jaruzelscy”, który był odpowiedzią na pytanie „Czy każdy, kto pracował w PRL, był zdrajcą ojczyzny? Pisałem wówczas co następuje.

„Nie ma już PRL, nie ma więc potrzeby prowadzenia wojny propagandowej z Dyktaturą. Zaczniemy analizować trudne problemy i stawiać trudne pytania, na przykład, co miało robić 36 milionów Polaków w ciągu 45 lat w PRL, bojkotować reżim czy być aktywnymi?”

Pytanie to dotyczy trzech pokoleń: Polaków „przedwojennych” i dwóch pokoleń urodzonych w PRL. Emigracja nie miała takiego dylematu, ponieważ jej rola

⁶⁷ Rzeczpospolita, 9 października 1999 r..

polegała na politycznym podważaniu fundamentów PRL, pod bezpiecznym parasolem Zachodu. W Polsce Ludowej taka postawa groziła prześladowaniami i bezrobociem.

W historii świata jest wiele przykładów dominowania jednych narodów nad innymi. Przed 1918 rokiem Czesi bardzo sobie chwalili dominację Austrii, ale oba kraje praktykowały ten sam model kapitalistycznej gospodarki. Dominacji ZSRR nad Polską towarzyszyła natomiast supremacja ideologii komunistycznej bardzo obcej Polakom. Transformacja demokratycznej Polski w pseudokomunistyczną PRL była dla Polaków nie do zniesienia. Narzucony sowiecki system był niehumanitarny i za mało sprawny, aby zdał egzamin, dlatego zaakceptowanie jego było tak trudne.

Z układem jałtańskim pogodziło się jednak wiele milionów rodaków, najczęściej kierując się pragmatyzmem.

Czy każdy, kto pracował w PRL, a co gorsze sprawował jakieś kierownicze stanowisko, był zdrajcą ojczyzny? Oczywiście nie był, żył marnie i stale marzył o lepszej Polsce. Po wygraniu przez Dyktaturę wojny domowej w 1947 roku praktycznie nie było zorganizowanej opozycji w kraju. Powstała dopiero po 28 latach, w 1976 roku (KOR i ROPCiO), a w 1980 r. powstała *Solidarność*. Po powstaniu III RP w 1989 roku nagle pojawili się liczni „opozycjoniści”, tak w kraju, jak i na emigracji, którzy zaczęli krytykować każdego, kto pracował i działał w Polsce Ludowej. Ludzie ci zazwyczaj siedzieli wtedy cicho jak mysz pod miotłą, a odwagi w krytykowaniu PRL nabrali dopiero po wyjeździe na Zachód za lepszym chlebem.

W PRL było około dwóch milionów stanowisk kierowniczych, które zajmowali nie tylko należący do partii. W PZPR były dwa — trzy miliony członków (w zależności od okresu), z których 2 proc. to autentyczni komuniści, a około 8 proc. — karierowicze. Reszta to byli ludzie, którzy albo uważali, że będzie im łatwiej żyć, albo będzie łatwiej coś zrobić dla ojczyzny, albo zostali zmuszeni do wstąpienia do partii z takich czy innych względów. Obok nich działali tzw. bezpartyjni bolszewicy, którzy podlizywali się dyktaturze i byli gorsi od najbardziej zacieklej komunistów. Resztę stanowili bezpartyjni, często nie mający żadnego wpływu na losy kraju, w którym żyli

Oceniając ludzi sprawujących władzę w PRL, nawet te najwyższe, trzeba brać pod uwagę, czy dany człowiek, nawet partyjny, był przyzwoitym pracownikiem czy działaczem, czy też popełnił czyny zbrodnicze. W dyktaturze bardzo trudno jest piastować stanowisko i równocześnie prowadzić niezależną politykę. To nie znaczy, że można usprawiedliwić każdą wygodną dla dyktatury decyzję. Sąd w Norymberdze nie uniewinnił na tej podstawie żadnego hitlerowskiego oskarżonego

Kim był Jaruzelski? Był wojskowym fachowcem, z dziada pradziada od 1863 roku, który założył, że układ jałtański jest trwałym rozwiązaniem i trzeba dogadać się ze wschodnim sąsiadem oraz protektorem.

Kiedy nadszedł czas, pokojowo przekazał władzę opozycji, ale ciąży na nim decyzja użycia wojska w 1970 i 1981 roku. Myślę jednak, że historia rozgrzeszy

dyktatora, jak rozgrzeszyła marszałka Józefa Piłsudskiego za 600 zabitych w 1926 roku. Tego typu żyjących polityków PRL już prawie nie ma. Ci, którzy pozostali, nie byli świętymi, ale nie byli też zbrodniarzami. I dlatego kiedy brakuje fachowców, trzeba dać im szansę w nowym systemie tak, jak to zrobił Konrad Adenauer. Ten twórca demokratycznych Niemiec wykorzystał prawie każdego fachowca z nazistowskiego reżimu. Gdy teraz zapatrzni jesteśmy na Niemców, dostrzeżmy również to źródło ich sukcesu.

Ponieważ koalicja AWS nie wyszła z żadną liczącą się koncepcją usprawnienia rządów w III RP, opublikowałem felieton pt. „Może czas na Rząd Jedności Narodowej?”⁶⁸. Napisałem wówczas, co następuje:

„Wszystko albo nic jest hazardem politycznym w warunkach transformacji Polski. Prawica stoi dziś przed prawdopodobną alternatywą przegrania wyborów prezydenckich i do Sejmu. Płaci cenę za niedopracowanie reform wprowadzonych w 1999 r. i za brak praktyki w rządzeniu oraz za los Polski, która przez ostatnie 350 lat była albo w niewoli, albo w kryzysie, przez co Ojczyzna nie wychowała zgodnego społeczeństwa. Zawsze potrafimy znaleźć usprawiedliwienie, ale czy potrafimy znaleźć na czas dobre rozwiązanie?

W stosunku do Zachodu straciliśmy owe 350 lat, z czego 45 lat w XX w. będąc pod Dyktaturą PRL. Straciliśmy także w latach zastoju 1993-97, kiedy nic nie reformowano. Czy chcemy tracić dalsze 4 lata, w których, aby wejść do UE trzeba wprowadzić kilkaset nowych praw i przepisów. Udało się ze „spowiedzią” w postaci wejścia do NATO, ale czy uda się nam z drugim „chrztem”, jakim będzie przyjęcie do UE?

Płd. Korea dokonała „cudu” gospodarczego w latach 80., dlatego że potrafiła zorganizować ekipę 100 liderów, którzy działali w zgodny sposób. Kraj ten przegonił wówczas Polskę, ale nie było to znów tak trudne, ale przegonił także wiele innych krajów w rozwoju gospodarczym. Dziś wobec wyzwań globalnej gospodarki wiele krajów przewartościowuje swoją politykę, czego najlepszym dowodem jest wejście ultra-prawicowej partii do rządu Austrii w 2000 r. I jest to rozwiązanie lepsze od rozpisania nowych wyborów, w których partia ta wygrałaby i mogłaby utworzyć samodzielnie rząd. Austriacy buntują się przed falą emigrantów, którzy odbierają im pracę, podobnie buntują się Niemcy, Francuzi i Amerykanie. A czy Polacy nie patrzą krzywym okiem na przybyszów ze Wschodu, którzy panoszą się na polskim rynku pracy?

Na podstawie historii Polski można sformułować prawo historycznego sukcesu państwa, które brzmi: historyczny stopień sukcesu państwa jest proporcjonalny do stopnia zharmonizowania jego sfery politycznej, społecznej i gospodarczej. Polska zaledwie transformuje się z psedo-komunizmu w kapitalizm i to za cenę „przejadania PRL”, podczas gdy kraje, do których teraz chcemy należeć transformują się z gospodarek krajowych w globalną, z informacji wyspowej

⁶⁸ W dziennikach, w których drukuje moje felietony oraz w *Nowym Dzienniku* w Nowym Jorku.

w sieciową, z gospodarki przemysłowej w informacyjną. Innymi słowy, Polska nadrabia zaległości, ale jeszcze nie robi tego, co robią Kraje Obrzeża Atlantyku. Względny dystans Polski zmniejsza się do tych krajów, ale w skali bezwzględnej zwiększa się. W polskiej transformacji, co gorzej, nie ma owej koniecznej harmonii między wszystkimi składnikami jej cywilizacji. I długo tej harmonii nie będzie, o ile nie zostanie dokonany przełom w polskiej polityce wewnętrznej. A na to się nie zanosi.

Dlatego dla dobra Ojczyzny trzeba zastanowić się nad zorganizowaniem Drugiego Okrągłego Stołu, przy którym usiądzie prawica, i lewica i uzgodni na wzór Koreańczyków, co i jak dalej rządzić wspólnym krajem. Może trzeba odwrócić formułę, „Nasz prezydent, a wasz wicepremier?” i zaprosić Zbigniewa Brzezińskiego na jedyne kandydata w wyborach prezydenckich. Niechby ich wicepremier pogimnastykował się z uzgodnieniem reform, z ich lepszym dopracowaniem i wdrożeniem. Oczywiście przy Stole trzeba podpisać wspólną deklarację tak, aby nie wyglądało, że komuna powraca do władzy, tylko socjaldemokracja w zachodnim stylu. Żadna ze stron nie wykazała, że ma monopol na „cnotę” w polityce.

Niniejsze rozwiązanie jest lepszym od każdego innego, które będzie tylko pogłębiać albo niemoc rządu, albo ów brak harmonii. Stosunek do tego wariantu moim zdaniem oznaczać będzie stosunek do dobra Ojczyzny w potrzebie. Jest ona na właściwym torze, tylko potrzebuje lepszych kierowców, aby wytrzymali konieczne przyspieszenia. Oczywiście rozwiązanie to nie spodoba się tym najbardziej zawziętym oraz tym, którym marzy się wysoki urząd albo tym, którzy przestaną być reżyserami w teatrze lalek. Tym najbardziej zawziętym odpowiem, bierzcie przykład z Nelsona Mandeli, a jeśli on was nie przekonuje, to weźcie przykład z naszego Wielkiego Rodaka Jana Pawła II, który uczy jak przebaczać.

Mnie to rozwiązanie tylko przysporzy wiele listów pełnych epitetów do redakcji. Już dziś na rok czy dwa przed katastrofą, odpowiem im, ja tylko chciałem by „Polak był mądry **przed** szkodą”.

Przytoczyłem tu niektóre felietony, które dotyczyły najważniejszych spraw w danym czasie, dołożyłem i swój głos w tych sprawach. Mam wrażenie, że mój głos był niekonwencjonalny, ale może przez to dający nowe światło na daną sprawę i powiększający wiedzę w danym temacie. Ktoś może pomyśleć, że w swych poglądach poszedłem „na lewo” np. w związku z tezami „kim są Jaruzelscy” czy w sprawie „Rządu jedności narodowej”. Po tym wszystkim co przeszedłem w PRL nie mam żadnej sympatii do ludzi, którzy nim zarządzili, tylko mam nadal sympatię do mojej Ojczyzny, która zasługuje na lepsze rządy i stosunki polityczne. Bez zgody narodowej nie da się tego osiągnąć w rozsądnym czasie. Świat w tym czasie poszedł w kierunku leczenia ran, eliminowania nienawiści, robienia miejsca dla wszystkich, nie antagonizowania bez sensu ludzi, itd. Drogę ku temu wskazuje nie kto inny, jak nasz Wielki Rodak Jan Paweł II. Ci co mnie będą za to krytykować oznacza, że odrzucili nauki polskiego Papieża.

Colleagues International

Kiedy rola emigracji polskiej jakby zaczęła gasnąć, moje zainteresowania polityką międzynarodową skierowałem na program lokalny, w ramach organizacji społecznej *Colleagues International*. Od 30 lat organizacja ta sprowadza obcokrajowców w środku ich zawodowej kariery na staże w biznesach i instytucjach w Kalamazoo. Trzeba dodać, że tego typu organizacji, o różnych nazwach jest bardzo dużo w St. Zjednoczonych. Po 1991 r. programy tego typu zostały mocno dofinansowane przez *US Information Agency*, która w 1999 r. została wchłonięta przez Departament Stanu. Naszymi gośćmi są teraz Rosjanie, Ukraińcy i inni obywatele z b. republik ZSRR. Uczymy ich, jak funkcjonuje w praktyce demokracja i kapitalizm.

Stażystami są profesjonaliści po 30., choć bywają młodszy i starszy, z miast prowincjonalnych. Chodzi tu o nie sprowadzanie specjalistów z Moskwy, bowiem ci są nieźle zapoznani z rozwiązaniami Zachodu, a mamy na uwadze ludzi z prowincji, zwykle bardzo zacofanej i oddalonej od Moskwy czy St. Petersburga. Rocznie gościmy ok. 20 stażystów. Stażyści mieszkają u rodzin, gdzie poznają codzienne życie Amerykanów i mają okazję na dobre rozmowy i informacje z pierwszej ręki. Kiedy przyjeżdżają są nasiąknięci propagandą, kiedy wyjeżdżają są już innymi ludźmi. Na przykład, kiedy wiozłem samochodem z lotniska kilku gości, jeden zapytał mnie, że „słyszał, że Amerykanie wprawdzie mają własne domki ale, że są one bardzo małe”. Wyjaśniłem mu, że „średnia takiego domku wynosi ok. 150 m²”. Wtedy, mój pasażer nie dał za wygraną i powiedział, „ale jest bardzo mało ziemi koło tego domku”. „Tak w miastach jest niewiele, podobnie jak w Moskwie, ale poza miastami jest średnio kilkanaście akrów i więcej”. Zasmuciła go moja odpowiedź, wyraźnie nie pasująca do jego informacji. Podobnie na pierwszym spotkaniu, jeden ze stażystów powiedział, że „w Rosji jest opinia, że amerykańska gospodarka wkrótce upadnie”. Powiedział to, kiedy tutejsza gospodarka jest w bezprecedensowym rozkwicie w 1999/2000 r. Odpowiedziałem mu, że gospodarka kapitalistyczna jest cykliczna i być może, że „gospodarka amerykańska umiera, ale jest to piękna śmierć”.

Organizacje typu naszej sprowadzają rocznie ok. 1000 Rosjan i obywateli z b. republik na przeszkolenie w St. Zjednoczonych. Żeby wszystkich dorosłych Rosjan przeszkolić w USA trzeba ok. 50 tysięcy, takie zaległości ma ten kraj w stosunku do Zachodu. Miejmy nadzieję, że ci co szkolą się u nas będą szkolić potem innych, i że da się ich wszystkich przeszkolić chociażby w III tysiącleciu...

W latach 1997-98 byłem wiceprezesem tej organizacji, a w latach 1999-2000 prezesem. Na swym stanowisku spowodowałem nadanie większego politycznego sensu temu programowi oraz wzmocniłem organizacyjnie funkcjonowanie CI, dzięki zatrudnieniu 2 pełnoetatowych pracowników i wynajęciu lokalu w centrum miasta. Zawsze uważam, że aby działać sprawnie trzeba mieć dobre podstawy organizacyjne.

Przyszłość Emigracji

Istnieje pogląd, że po upadku PRL i powstaniu III RP w 1989 r. skończyła się emigracja polityczna. Jednak Polska jest nadal państwem frontowym, sąsiadującym z Rosją i byłymi republikami sowieckimi, kiedy Rosja stopniowo wchodzi z powrotem na ścieżkę rozbudowy swej siły militarnej. Rosja czuje się upokorzona porażką w Zimnej Wojnie, podobnie jak Niemcy czuli się po zawarciu Traktatu Wersalskiego w 1919 r. i zaczyna kopiować politykę Niemiec z 1933 r., toteż Polska, pomimo wejścia do NATO, nie może czuć się w 100 proc. bezpiecznie. Polska z przedmurza chrześcijaństwa stała się przedmurzem kapitalizmu. Zadanie modernizowania Wschodu przez Polskę jest wciąż aktualne.

Rzeczywiście emigracja polityczna być może powinna transformować się w emigrację kulturową, ale w której będzie zachowany element polskiego lobby, przynajmniej w St. Zjednoczonych. W latach 1989-95-2000 *Studium* w postaci jego quasi Biblioteki, transferowało wiedzę polityczną do Polski, obecnie, czyli po 2000 r. Polska, siłami swoich intelektualistów, twórców i artystów powinna transferować na Zachód i nie tylko, wiedzę o totalitaryzmie, aby nigdy już się nie odrodził. W ten sposób Polska odpłaci się światu demokratycznemu za ponowne przyjęcie w swoje szeregi w 1999 r., mam tu na myśli przyjęcie do NATO i będące na horyzoncie przyjęcie do Unii Europejskiej ok. 2003 r.

Żeby sprostać temu zadaniu, Polska powinna pomóc w zjednoczeniu emigracji, przyznając jej 10 foteli senatorskich w Sejmie. W ten sposób powstanie dobrze poinformowane polskie lobby, z pewnymi nawet prawami. Skoro tak z zazdrością patrzymy na sprawność emigracji żydowskiej, to warto zauważyć, że pomimo istnienia demokratycznego państwa Izrael, państwo to ma silne lobby w St. Zjednoczonych i zapewne jeszcze w paru innych ważnych państwach. Zatem emigracja polityczna (jaka istniała podczas Zimnej Wojny) powinna teraz przekształcić swą misję z „protestu narodowego” w misję polskiego lobby i centra transferu wiedzy o totalitaryzmie. Jeżeli jednak nie otrzyma wsparcia politycznego z Warszawy, to zgaśnie.

Moja skromna rola „producenta i dystrybutora wiedzy” o demokracji i kapitalizmie raczej ulega ograniczeniu. W ciągu moich 20 lat na emigracji, opublikowałem ok. 150 artykułów i felietonów (z tego ok. 100 w USA i 50 w Polsce, w tym w Ameryce ok. 50 w *Nowym Dzienniku*, a ok. 50 w *Gwieździe Polarnej* i *Nowym Kurierze* w Toronto) oraz 8 książek politycznych. Teraz wracam do informatyki i jej roli w ewolucji cywilizacji, o czym będę pisał w następnym rozdziale. Mając zainteresowania historyczne, być może ześrodkuję je teraz nad badaniami emigracji polskiej, z jednoczesną próbą ulepszenia metody badań nad powszechną historią Polski. Z tego względu zostałem prezesem Światowej Rady Badań nad Emigracją z siedzibą w Częstochowie.